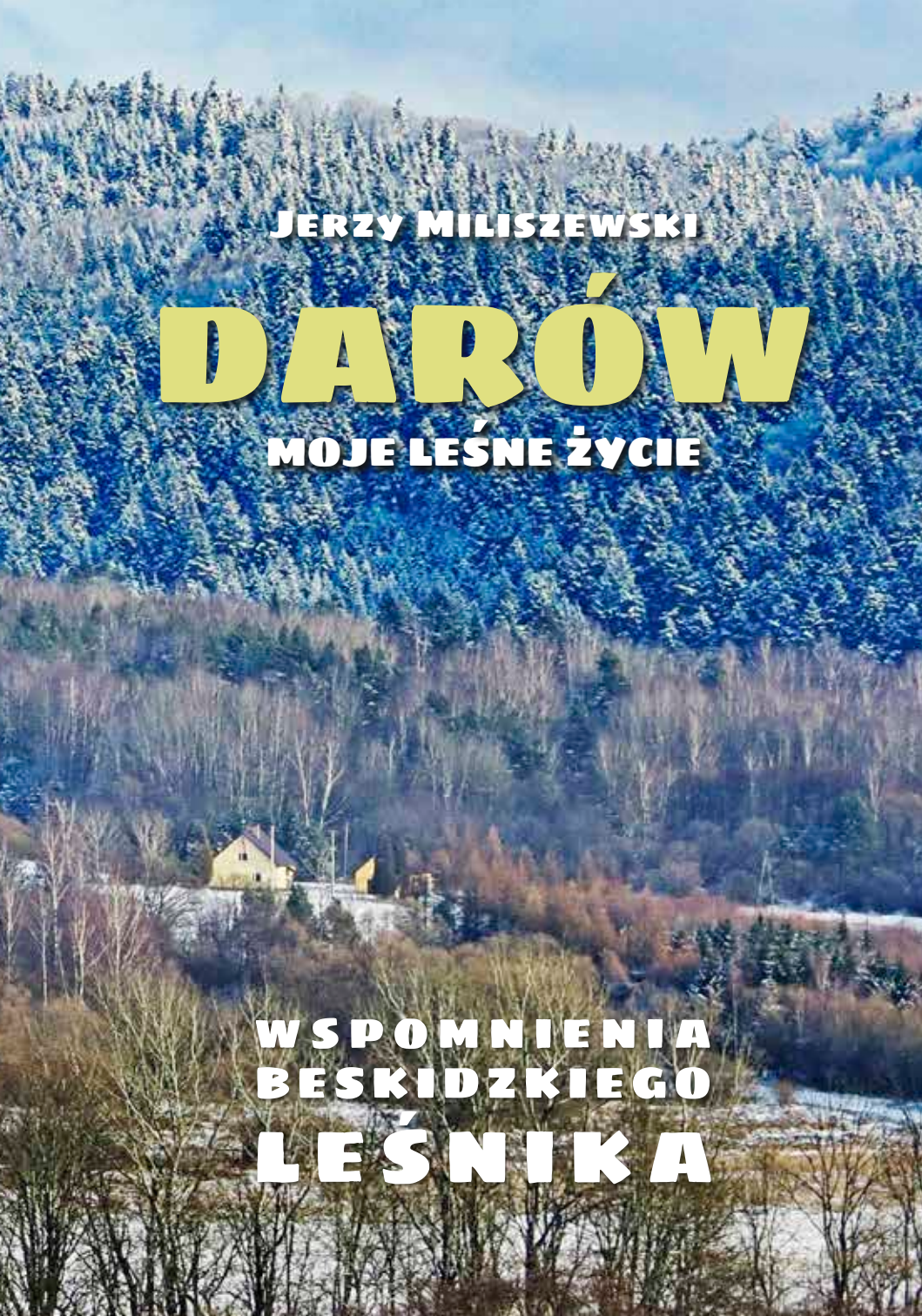


The background of the entire cover is a photograph of a mountain landscape. The upper part of the image shows a dense forest of evergreen trees covered in a light layer of snow, set against a clear blue sky. Below this, a steep hillside is covered with a mix of evergreen and bare deciduous trees. In the middle ground, a small, two-story yellow house with a dark roof sits on a slight rise. A road or path leads towards the house. The foreground is filled with the bare, tangled branches of trees, suggesting a late autumn or winter setting.

JERZY MILISZEWSKI

DARÓW

MOJE LEŚNE ŻYCIE

**WSPOMNIENIA
BESKIDZKIEGO
LEŚNIKA**

Spis treści

Wstęp	7
Część I. Życie leśnika	11
Wisłok Wielki	13
Darów – przewodniczka	41
Pierwsze kroki na swoim	49
Reorganizacji jeszcze kilka	59
Polityka i łowy	71
Leśne wydarzenia niezwykłe	83
Leśni ludzie nietuzinkowi	103
O wszystkim po trochu	121
Nie tylko kubikami żył leśniczy	143
Związek Leśników Polskich	173
Wszystko się kiedyś kończy	185
Część II. Leśniczy na łowach	195
Wiosenne polowania	197
Wilcze wspomnienia	203
W wigilijną noc	209
Stan wojenny i byki	215
Z pieskami na odyńca	219
Kłusownicze epizody	223
Basior z adiutantem	231
Łowy wyjazdowe	235
Z jeleniami spotkań kilka	255
Refleksje po pięćdziesięciu latach w łowiectwie	277
Słownik terminów łowieckich	297



Autor w karykaturze leśnego rysownika Jacka Frankowskiego



Wstęp

Do czytania tej książki zachęcać nie trzeba; jeśli tylko Drogi Czytelniku wzięłeś ją w dłonie, zanurzysz się w jej treść, jak w leśny gąszcz. Autobiograficzna w swym zamyśle książka mojego leśnego przyjaciela, Jurka Miliszewskiego, jest bowiem kapitalnym zapisem nie tylko osobistych przeżyć, ale dokumentem z dziejów leśnictwa, łowiectwa i pszczelarstwa w Beskidzie Niskim w ciągu minionego półwiecza.

Już sam fakt, że chłopak z Podlasia, spod Augustowa, po skończeniu Technikum Leśnego w Białowieży, ruszył samodzielnie na podbój świata, który w tamtych czasach jawił się jako polski Dzikie Zachód, jest godny uwagi. Beskid Niski na początku lat siedemdziesiątych XX wieku był terenem bardziej bezludnym niż osławione już wówczas Bieszczady. Sama leśniczówka Darów, w której przez wiele lat mieszkał leśniczy Miliszewski z rodziną, była totalną dziczą, długo odcięta od świata odległością i nurtem Wisłoka, jak również bezdrożem zawiewanym śnieżnymi zaspami. Nawet inni leśnicy z Beskidu mówili, że „trzeba mieć nawalone, by tam mieszkać”, na dodatek z żoną i trójką dzieci. A przecież nie tylko zmagał się z rodzinną codziennością, ale też z ciężką robotą w lesie...

Sporo uwagi autor poświęca ludziom, z którymi dzielił całe lata w pracy i z radością zauważam, że wielkim szacunkiem darzy on drwali, wozaków, wypalaczy węgla drzewnego. Opowieści o Kazku, Władku czy Bolku to autentyczne portrety niepowtarzalnych ludzi z tamtych lat, z tamtych lasów. To piękne zapisy przygodowych

zdarzeń, ale też dramatyczne historie ludzkie, które dzięki temu zapisowi przetrwają.

Z podziwem od lat patrzę na pszczelarską pasję Jerzego, który – gdyby podliczyć – w pasiece spędził pewnie całe lata. Ale to nie tylko miodem płynące zajęcie, bo w pszczelarskim życiu zawsze jest sporo historii smutnych i pouczających. Wspomnienia, które dobrze się słucha przy „żurawinowej na miodzie” – nalewce będącej specjalnością Jerzego.

Mocno brzmią w książce wątki myśliwskie, bo w żyłach Jerzego płynie krew łowcy i miłośnika zwierzyny zarazem. To zapis spotkań z dzikimi mieszkańcami lasów, myśliwymi przez wielkie „M” i... partyjnymi dygnitarzami z okresu PRL-u. W tych opowieściach doskonale oddał klimat socrealistycznych powiązań, z którymi każdy żyjący wówczas musiał się mierzyć. Te łowieckie motywy to spora część książki, tak jak i duża część życia autora, spędzona w lesie, na ambonie czy w podchodzie. Są historie z kłusownikami. Traper z Darowa potrafi też krytycznie spojrzeć na łowiecki świat i nie owija w bawełnę ewidentnych błędów swej braci od strzelby – pisze o nich wprost. Jednocześnie nie znajdziemy tu myśliwskiej hipokryzji, często widocznej w łowieckich opowieściach.

Ważnym dla mnie rozdziałem są wspomnienia z okresu działalności Jerzego w Związku Leśników Polskich – organizacji o ponad stuletniej historii. Autor książki przez całe lata był wiceprzewodniczącym zarządu głównego ZLP. Bardzo dużo wniósł w działalność tej organizacji, bo jako szeregowy leśniczy doskonale rozumiał ludzi i ich problemy, dzięki czemu umiał też upominać się o prawa tych, którzy najgłębiej siedzą w lesie.

I wreszcie tytułowe miejsce – Darów. Każdy, kto stąpał po Beskidzie w rejonie pasma Bukowicy, wie, co to za dolina. Dziś wciąż przyciąga swą tajemniczą przeszłością i magią lasów. W książce ożywają też dawni, wysiedleni mieszkańcy tej okolicy i ich potomkowie,

z którymi autor miał okazję się spotykać. Opowiadają, jaki był dawny Darów, dawna Surowica i Polany Surowiczne. Leśniczy w tym przypadku jest dla nich swego rodzaju liną łączącą dzieje tych wsi i teraźniejszość. Jednym z tych, którzy dbają o pamięć historyczną.

Na kartach tej publikacji przebiega się też niezwykła estyma do samego Beskidu. Autor wciąż wraca do lasów, które tyle lat pielęgnował i niemalże, jak niegdyś Wincenty Pol, zdaje się pytać:

Beskidzie graniczny! Beskidzie zielony!
Od Boga pomiędzy narody rzucony!
[...]
Czy szumią twe lasy, jak dawniej, wesoło?
Czy trzmielą tak smukło twe świerki wokoło?
Czy sklepią się jeszcze twe buki jak wprzód?
A jawor, czy chyli się jeszcze do wody?

Nie znam osoby, która mogłaby lepiej na te pytania odpowiedzieć, czy też miałyby prawo o tej części Beskidu Niskiego napisać więcej i ciekawiej niż autor tej książki. Mimo że „Darów” to zapis leśnego żywota Jerzego Miliszewskiego, stanowi on autentyczne *silva rerum*, bowiem odnosi się w największym stopniu do lasu i jest arcyrzeczowym zapisem epoki, która na pewno już nie wróci. Każdy może jednak poczuć jej smak – wystarczy przeczytać tę książkę.

Edward Marszałek



W starym, rodzinnym sadzie



Wisłok Wielki

Był początek upalnego sierpnia 1969 roku. W miejscowości Wisłok Wielki za Komańczą, z autobusu jadącego z Sanoka, wysiadł wysoki, szczupły dziewiętnastolatek i zapytał współpasażera o siedzibę nadleśnictwa. „O tam, trzysta metrów od przystanku” – padła odpowiedź.

Gdy przymykam oczy i zaczynam wspominać młodość, to ten mój przyjazd w góry widzę wyraźnie i szczegółowo, jakby to było wczoraj, a to już pięćdziesiąt lat minęło.

Pochodzę z małej wsi pod Augustowem, gdzie rodzice zajmowali się prowadzeniem gospodarstwa rolnego o niewielkiej powierzchni jedenastu hektarów. Gospodarstwo założył dziadek Julian, ojciec mojej matki. Dziadek w 1911 roku wyemigrował za chlebem do USA z zamiarem powrotu po dwóch–trzech latach. Plany te pokrzyżował wybuch I wojny światowej i dziadek wrócił dopiero w 1920 roku. Po powrocie z USA kupił działkę rolną od miejscowego dziedzica, który był chyba niezbyt dobrym gospodarzem, bo powoli parcelował majątek. Do dzisiaj pamiętam wieczorne opowieści dziadka przy lampie naftowej o pobycie w Ameryce, o świecie dalekim i jakże egzotycznym.

Ojciec mój pochodził z rodziny rzemieślniczej, z miasteczka Rajgród. Jego rodzina prowadziła od zawsze niewielki, ale nieźle prosperujący zakład i sklep masarski, który został parę lat po wojnie upaństwowiony. Ojciec nigdy tego nie mógł przeboleć i pracę na roli traktował trochę jako dopust boży. Z tej też przyczyny organicznie



Mój rodzinny dom

nie cierpiał komunistów i wprowadzonych przez nich po wojnie porządków. Nie bez znaczenia był również fakt, że w moich stronach II wojna światowa zaczęła się okupacją sowiecką i zaraz na jej początku najstarszy brat ojca, Kazimierz, trafił na Sybir. Nigdy już stamtąd nie wrócił. Tę „miłość” do jedynie słusznego wówczas systemu ojciec zaszczepiał również we mnie.

Byłem najmłodszym z trójki braci. Najstarszy miał ode mnie dziesięć lat więcej. Po ukończonej w 1958 roku szkole leśnej w Białowieży pracował w lasach, dosyć daleko od domu rodzinnego. Niezmieranie mi imponował, a szczególnie interesowała mnie jego strzelba, rosyjska „tułka” kalibru 16. Pozwalał mi ją czyścić, a później, gdy tak jak on poszedłem do szkoły leśnej, to nawet dawał postrzelać. Z ową strzelbą odniosłem też pierwszy sukces łowiecki – w wieku czternastu lat ustrzeliłem srokę. Niewiele później była już pierwsza

kaczka i zając. Z kolei średni brat nie rwał się do szkół i zamierzał kontynuować pracę na gospodarstwie.

Dzieciństwo miałem niebogate, ale szczęśliwe, pomimo że lata pięćdziesiąte nie napawały zbytnim optymizmem. Pamiętam dokładnie 1 września 1956 roku, gdy z ojcem szedłem po raz pierwszy do szkoły w miasteczku Rajgród. Byłem bardzo dumny i podekscytowany tym pierwszym, tak ważnym wydarzeniem w moim życiu. Ojciec, przy okazji, zaszedł ze mną do państwowego sklepu mięsnego i z goryczą pokazywał mi jego wnętrze. Jeszcze niedawno ten sklep wraz z całym wyposażeniem należał do ojca...

Życie wiejskich chłopaków koncentrowało się wokół jeziora, które mieliśmy na wyciągnięcie ręki. Łapaliśmy ryby wszelkimi sposobami, pływalismy na różnych wynalazkach: począwszy od balii a kończąc na starych kajakach i porzuconych przez właścicieli dziurawych łódkach. Szybko nauczyliśmy się pływać i czasami fundowaliśmy sobie idiotyczne i groźne sprawdziany pływackie. Nie było chyba lata, żeby ktoś w okolicznych jeziorach nie utonął.

Wówczas także bardzo lubiłem czytać książki, szczególnie powieści historyczne i przygodowe.

W skład naszego gospodarstwa wchodził również kawałek pięknego lasu, do którego czasem przyjeżdżał pan leśniczy. Był to postawny mężczyzna w sile wieku, ubrany w zielone bryczesy i mundur. Używał motocykla Jawa i miał skórzaną raportówkę. Chyba ze dwa razy przewiózł mnie kawałek motocyklem, co było dla dzieciaka w latach pięćdziesiątych przeżyciem niebywałym. Z raportówki wyciągał bardzo tajemnicze przedmioty, mianowicie cechówkę i numerator. Tymi narzędziami legalizował pozyskane przez rodziców drewno. Ja z nabożnym szacunkiem patrzyłem na to wszystko, towarzysząc ojcu bądź dziadkowi.

Pamiętam bardzo dokładnie te obrazki i przypuszczam, że to spowodowało moją pierwszą fascynację zawodem leśnika.



Do pracy



Praga z drewnem i córeczka za kierownicą



Wypał węgla w Surowicy

Węglarza przypadek niedobry (fragment)

Pewnego czerwcowego wieczoru, przejeżdżając obok wypału, zauważyłem stojącego tam kolegę myśliwego z koła – Józka. Jako że gawędził z jednym z wypalaczy, zatrzymałem się. Józek przyjechał popatrzeć za koziołkiem, więc gaworzyliśmy sobie, o tym, gdzie też takowe się ukrywały. Dla wypalacza to też jedna z nielicznych okazji, aby się trochę oderwać od czarnej rzeczywistości.

W pewnej chwili nasz gospodarz rozejrzał się wokół i zawołał: „Rany boskie! Gdzie Staszek?!”. To jego pomocnik, którego rzeczywiście niedawno widzieliśmy kręcącego się pomiędzy retortami. Nawoływaliśmy na próżno.

W pewnej chwili zauważyliśmy drabinkę wystającą z otwartego wjazdu u góry retorty i już wszystko było wiadome.



PARTNERZY WYDANIA



Nadleśnictwo Rymanów



CENA

46

zł



ISBN 978-83-7530-736-8

Chłopak z Podlasia, spod Augustowa, po skończeniu Technikum Leśnego w Białowieży, ruszył samodzielnie na podbój świata, który w tamtych czasach jawił się jako polski Dzikie Zachód. Beskid Niski na początku lat 70. XX wieku był terenem bardziej bezludnym niż ostatecznie już wówczas Bieszczady. Sama leśniczówka Darów, w której przez wiele lat mieszkał leśniczy Millszewski z rodziną, była totalną dziczą, długo odcięta od świata odległością i nurtem Wistoka, jak również bezdrozom zawiewanym śnieżnymi zaspami. Nawet inni leśnicy z Beskidu mówili, że „trzeba mieć nawalone, by tam mieszkać”, na dodatek z żoną i trójką dzieci.

Edward Marszałek (fragment wstępu)

